

Zbigniewa Libery czy Yael Bartany. Choć ciężko przewidzieć, czy ich filmy przeszłyby przez wspomniane na początku kryteria doboru materiału badawczego.

Kinematografia polska w ujęciu Haltofa jest nadal radykalnie „rozdzielona” na dokument i fabułę. Wszelkie inne formy filmowe nie mają racji bytu. Trudno również przemilczeć niektóre decyzje co do wyboru źródeł historycznych. Haltof cytuje Piotra Gontarczyka i Marka Jana Chodakiewicza, a Jana Tomasz Grossa i niektórych autorów z Centrum Badań nad Zagładą PAN umieszcza jedynie w bibliografii. Zresztą jedną z najciekawszych opinii z książki *Polish Film and the Holocaust* jest niewinny fragment na temat Zofii Kossak-Szczuckiej, którą Haltof porównuje do ciężarnej Anny z Wielkiego Tygodnia Wajdy: „In the summer of 1942, she [Zofia Kossak-Szczucka – J.O.] published a clandestine leaflet titled *The protest*, in which she condemned the German extermination policy toward the Jews. Kossak-Szczucka was a member of the resistance, known for her efforts to help branch of the Home Army (AK). For her activities she was imprisoned for more than a year at Auschwitz”. Wszystko to prawda, ale w tym wypadku uczciwiej byłoby chyba zaznaczyć również, że w samym *Proteście* znajdowała się dość wyraźna informacja: „Uczucia nasze względem żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście”.

Joanna Ostrowska

Na granicy bezpieczeństwa

Ed Vulliamy

Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy

przełożył Janusz Ochab

Czarne

Wołowiec 2012

„Mario jest człowiekiem znacznie odważniejszym niż ja, a to jego miasto. Nadszedł chyba czas, żeby zdać się na kogoś, kto dobrze zna tujsze realia, a nie pchać się do bram rajów przed wyznaczonym czasem [...]”. Fragment ten, napotkany przeze mnie gdzieś w okolicach czterechsetnej strony książki *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy* Eda Vulliamy’ego, po raz kolejny w czasie lektury kazał mi się zatrzymać nad kwestią odwagi. Ile trzeba mieć odwagi, żeby napisać reportaż o wojnie, która rzekomo nie istnieje? Ile odwagi musi mieć gringo, żeby zamieszkać przez jakiś czas w okolicy Juarez? A ile, by reportaż zawierał tyle informacji i spostrzeżeń, by mógł być reportażem dobrym? I przede wszystkim: czy Ed Vulliamy tę odwagę miał?

Ameksyka to obszerny zbiór reportaży z podróży wzdłuż granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Autor, brytyjski dziennikarz, wcześniej znany przede wszystkim z konfliktu bałkańskiego, tym razem zainteresował się innym rejonem świata i zjawiskiem, które nazywa pierwszą w pełni postmodernistyczną wojną na świecie. Wojną o pieniądze. W tym wypadku o pieniądze z handlu narkotykowego.

+

Ed Vulliamy w 2009 roku odbył podróż od wybrzeża Pacyfiku do Zatoki Meksykańskiej. W swoich reportażach ukazuje sytuację społeczną po obu stronach granicy. Rozpoczyna mocnymi statystykami i obrazkami z Juarez, najniebezpieczniejszego miasta na świecie: 2657 osób zamordowanych w 2009 roku. Na wiadukcie wiszą zwłoki mężczyzny bez głowy. Gapie przyglądają się bez zdziwienia, a media o tym nawet nie wspomną. W Juarez, mieście oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od nowoczesnego i spokojnego El Paso w Teksasie, takie zdarzenie to codzienność.

Wojna na granicy toczy się pomiędzy kartelami o wpływy z handlu narkotykami. Vulliamy drobiazgowo udowadnia, jak ogromne znaczenie ma ta sytuacja. W niektórych miastach co druga osoba w taki czy inny sposób jest zaangażowana w biznes narkotykowy. Jego skutki widać w szkołach, fabrykach i zakładach psychiatrycznych. Kartele kontrolują wszystkie dziedziny życia. Autor przekonuje, że jeśli Meksykanin chce wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, nieważne są wize i pozwolenia, najpierw trzeba zapłacić kartelom, dopiero potem należy się martwić władzami USA. W sprawę zaangażowani są Indianie i księża. Dzieci od najmłodszych lat dorabiają na ulicy, a kobiety zakładają stowarzyszenia sprzeciwiające się działalności własnych mężów, jednak same coraz częściej też zajmują się handlem – to bardziej poważane niż prostytutka. Rodziny przymierają głodem, a jednocześnie rozwija się handel bronią i pranie niewyobrażalnej ilości gotówki. Taka jest historia, przekonuje Vulliamy, jointa, którego zapaliłeś na ostatniej imprezie.

Autor szuka przyczyn ameksykańskiej wojny. Przekonuje, że współwinne są Stany Zjednoczone, ale też Europa Zachodnia. Tam gdzie jest popyt, jest też podaż. Wojna nie rozwiąże się sama (przy obecnym skorumpowaniu narodu nie pomoże też meksykańska armia). Obec-

na sytuacja będzie trwać, póki nie zmieni się globalna świadomość społeczna. Dopóki Hollywood będzie promował wizerunek romantycznego mafioza, dopóki nie zostanie zmieniona polityka dotycząca sprzedaży broni, dopóty nie ma co liczyć na poprawę sytuacji Ameksyki.

Książka jest istotną pozycją na rynku. Zwraca uwagę na zdarzenia ważne, którym polskocentryczne media rzadko poświęcają należyłą uwagę (przy czym to nie tylko polska sytuacja. Znajomi ze Stanów Zjednoczonych przekonują mnie, że większość ich rodaków nie ma pojęcia, co się dzieje na granicy ich własnego kraju). Otwiera oczy na problemy zachodniego świata niezwiązane z polityką Bliskiego Wschodu, na którym skupiona jest uwaga mass mediów. Z tego powodu uważam, że warto sięgnąć po pozycję Vulliamy'ego. Ale sądzę też, że lekturę można spokojnie zakończyć po pierwszym rozdziale.

Najbardziej zaskakujące i przerażające fakty autor wyłożył nam już we wstępie. Dopowiedział je historią meksykańskiej mafii, a potem, chciałoby się rzec, już z górki. Gdy zaczęłam lekturę, miałam przed sobą tylko pierwsze kilkadziesiąt stron udostępnionych w Internecie. Po godzinie czytania pobiegłam do księgarni, umierając z ciekawości, by dowiedzieć się więcej. Bo skoro po hitchcockowsku Ameksyka zaczyna się od trzęsienia ziemi, to potem musi być coraz mocniej. Otóż nie było. Poszczególne reportaże składające się na kolejne rozdziały książki dają nadzieję przerażonemu, patrzącemu na 500-stronicowe dzieło, czytelnikowi, ale niestety w toku lektury rozczarowują z każdą stroną coraz bardziej.

Wrócę na chwilę do kwestii odwagi. Tamar Jacoby w recenzji dla „New York Timesa” pisze, że Vulliamy podaje mało konkretnych informacji na temat wojny narkotykowej. Łagodnie się przesuwają po powierzchni problemu, ale nigdy nie sięgają

dna. Podpisuję się pod tym stwierdzeniem obie-
ma rękami. Autor pisze o szkołach, kościołach,
święcie zmarłych i domach dziecka, ale mało
miejsca poświęca samej wojnie i jej sprawcom.
Pojawia się pytanie: dlaczego? Czy zabrakło mu
wytrwałości w zdobywaniu prawdziwych repor-
terskich kąsków? Nie zagłębił się wystarczająco
mocno, by przekazać nam naprawdę wstrząsa-
jące informacje? W czasie swojej podróży przez
większość czasu porusza się i sypia po amery-
kańskiej stronie granicy i taka też pozostaje jego
opowieść. Gdzieś zahacza o temat, jest z nim
związany, jednak pozostaje z boku. Dzięki takiej
strategii miał możliwość pokazania, w jak wiele
dziedzin życia uderza ameksykański przemysł
narkotykowy, i jest to niewątpliwie plusem. Jed-
nak pozostawia niedosyt. Autor stawia teorie
dotyczące przyczyn bogactwa i wpływów mek-
sykańskich gangów, ale nie pokazuje, jak karte-
le sprawują swoje nieograniczone rządy. Pisze
krótko o pośrednich przyczynach wojny, mówi
o jej skutkach, zabrakło jednak samej wojny.

Jednocześnie tłumaczę Vulliamy'ego przed sobą
samą. Trzeba pamiętać, że reporter być może
nie mógł pójść głębiej. W toku pracy poruszał
się po niezwykle niebezpiecznym gruncie. Kar-
tele narkotykowe, oczywiście, nie życzą sobie
rozgłosu, a już na pewno nie tego, na który nie
mają wpływu. Jeszcze raz odwaga: ile jej trzeba,
żeby donieść światu o Ameksyce? Ile, żeby spa-
cerować wieczorem po Juarez czy Tijuanie? Jak
daleko można się posunąć, żeby móc jeszcze
w ogóle cokolwiek powiedzieć? W którym mo-
mencie język zostałby odcięty? Reporter spo-
gląda na Juarez ze swojego pokoju hotelowego
w El Paso. Granica państw w tym wypadku jest
też granicą bezpieczeństwa.

Jednak nie tłumaczy to Vulliamy'ego przed moim
największym zarzutem: książka nie zaciekawia.
W czasie lektury miałam wrażenie, że czytam
o czymś istotnym, czego powinnam być świa-

doma, ale reportaże, mimo że traktują o części
świata bliskiej memu sercu, mnie nie pochło-
nęły. Gdzieś w połowie miałam dosyć – nieste-
ty nie przez okrucieństwo przekazu czy natłok
informacji, ale właśnie przez znużenie. Miałam
wrażenie, że w każdej chwili mogę opuścić kilka
stron bez niebezpieczeństwa ominięcia istotnej
części. Można też w połowie rozdziału przejść
do następnego, bo już się mniej więcej wie,
o czym traktuje. Zabrakło daru opowieści. Może
książka jest za długa? Może z tych 500 stron
dałoby się zrobić 300? Jeśli kogoś zaciekawi,
dowie się więcej z innych źródeł.

Ameksyka to jedna z tych ważnych pozycji lite-
rackich, których nie trzeba znać w całości. Zapoz-
nanie się z prologiem i pierwszym rozdziałem
jest lekturą obowiązkową dla każdego obywa-
tela świata. Cała reszta może być traktowana
fakultatywnie.

Agnieszka Ptaszyńska